

# Jestem trochę staroświecka

66

Rozmowa  
z JOANNĄ  
SZCZEPKOWSKĄ

— Od dawna własne sukcesy artystyczne zapisuje pani na własne konto, choć wszyscy wiedzą, że jest pani córką Andrzeja Szczepkowskiego. A mama?

— Jaka szkoda, że pani nie zna mojej mamy... Z wykształcenia też jest aktorką, ale rzuciła teatr, by stworzyć nam dom z prawdziwego zdarzenia, w którym jest ostoją, powiernicą, krytykiem i przyjaciółką. Dobra, wyrozumiała, cierpliwa i dyskretna. Ma też wielkie poczucie humoru. Mój ojciec dowcipy tworzy, moja mama dowcipy dostrzega wokół siebie.

— Dom był otwarty?

— Otóż nie. Dom mojego dzieciństwa był zwykłym domem, w którym nie brakowało oczywiście gości, ale w którym panowała normalna atmosfera, a nie szaleństwo improwizacji. Muszę przyznać, że wyniosłam z niego zamiłowanie do dobrych tradycji i przekonanie, że dom musi być przede wszystkim azylem, takim schronieniem przed huśtawką nastrojów, charakterystyczną dla zawodu aktora.

— Pani mama, Roma, jest córką wybitnego pisarza Jana Parandowskiego...

— ... który także holdował pewnym zasadom i dobrym obyczajom. Do domu mojego dziadka nigdy się nie „wpadało”, lecz przychodziło, a wizyty były rodzajem rodzinnego święta. Były to cudowne przyjęcia, w czasie których ze sobą rozmawiano i słuchano się uważnie. Taka atmosfera uciekła gdzieś z dzisiejszego życia, w którym wszyscy się przekrzykują i nikt nie ma czasu; nie tylko dla drugiego człowieka, ale nawet dla siebie.

— Jaką pani jest matką dla swoich córek?

— Ja jestem przede wszystkim matką. Do tego stopnia, że najważniejsze decyzje artystyczne podejmuję po zadaniu sobie pytania: jak to wpłynie na dzieci i czy nie stworzy dystansu pomiędzy nami. Oddaję wspaniałą rolę i rezygnuję z atrakcyjnego wyjazdu, jeśli wiem, że w życiu którejś mojej córki następuje taki moment, gdy jestem jej bezwzględnie potrzebna. A mimo to, moje dziewczynki pewnie są o coś tam uboższe, skoro mają mamę, która codziennie wieczorem wychodzi do pracy.

— I o coś bogatsze...



Zdjęcie: Józef Makal

— W każdym razie protestują, gdy napomykam, że zmienię zawód. Tak to sobie ustawiłyśmy, że wtedy, gdy przychodzi jakaś przerwa w moim kółwrotku, to poświęcam im każdą wolną chwilę.

— Może pani córki przedstawić? Z imienia, z charakteru...

— Z charakteru nie; one ostatnio bardzo tego nie lubią, doszły bowiem do momentu, w którym nie zgadzają się być „dziećmi publicznymi”. Marysia ma lat 14 i pół (to pół jest bardzo ważne!), A Hania — 12. Na szczęście powszechnie uważa się, że nie są typowymi dziećmi aktorskimi. Bo jest taki syndrom; dzieci aktorów (nie wszystkie, oczywiście) zwykle od małości przebywają w towarzystwie dorosłych, co daje im pewien styl bycia, trochę nonszalancki luz, potrzebę popularności. Moje córki jakos nie złapały tej pozy. Są bardzo zwyczajne, choć kochają teatr i bardzo przeżywają moje premiery. Ale nie wiem kto z nich wyrośnie; różnią się zresztą dosyć znacznie.

— Z pani miała wyrosnąć pisarka; tak zapowiadał Jan Parandowski.

— Tylko dziadek wróżył mi drogę literacką, kończąc rodzinne spory krótkim „ja się na tym znam”. A chyba się znał, skoro napisał „Alchemię słowa” i bardzo dokładnie badał psychologię pisarstwa. Rodzice mieli inne zmartwienie; rodzice nie chcieli mnie widzieć aktorką.

— Rodzicom się przepowiednie nie udały, ale dziadek chyba miał rację. Powolutku, od dawna,

idzie pani ku literaturze. Najpierw to były krótkie felietony, potem teksty minidramatyczne. Co sprawiło, że te ostatnie wystawiła pani pod osąd publiczny, łączące je muzyczno-poetycki wieczór sceniczny?

— Sprowokował go Wojciech Młynarski, który umówił mnie z ludźmi mogącymi taki spektakl przygotować. Nie mam talentów organizatorskich i to on właśnie, ojciec chrzestny recitalu, załatwił je za mnie. Spróbowałam.

— Pierwsza część wieczoru, to rodzaj żartobliwego życiorysu, w którym obok fikcji jest chyba jednak i trochę prawdy o pani samej. Jak w tej piosence o mądrym nauczycielu...

— Tam jest sporo prawdy. A nauczycieli miałam różnych; bardzo przeciętnych, których nagminnie oszukiwałam wymyślaniem nieistniejących wierszy i takich, którzy dali mi posag na całe życie. Ci właśnie, najczęściej jeszcze pedagogzy przedwojenni (jeden z nich był nauczycielem... mojej mamy), wierni byli wartościom, jakie wyniosłam z rodzinnego domu i do których wciąż wracam. Widocznie jest we mnie potrzeba zachowania pewnego sposobu bycia, który nieodwołalnie odchodzi w przeszłość, a który chciałabym ocalić. Zastanawiam się czasem, czy to z czym zetknęłam się w dzieciństwie, to moja ułomność czy bogactwo. Tamten świat pełen był ludzi mądrych, wrażliwych, delikatnych i eleganckich. Dziś to są rzadkie przymioty. Ale może świat poszedł do przodu, a tylko ja jestem staroświecka i zatrzymałam się w tamtej epoce? Może jestem niedostosowana i nie widzę, że jedno mija a drugie się rodzi? I to drugie wcale nie jest takie bylejakie, tylko po prostu inne? W moim własnym domu próbuję te sprzeczności godzić, ale jak mogę smakować urodę spotkania z przyjaciółmi, skoro telefon dzwoni (propozycje), zobowiązania rosną (żyć muszę) a ja wpadam w nerwowość? Strasznie mi trudno...

— A jednak zrezygnowała pani ze stałego etatu w teatrze.

— Właśnie po to, by dać sobie szansę na trochę inny tryb życia, na realizację marzeń. Na razie idę w niepewność.

— To odwaga.

— W moim przypadku niesłychana, bo ja przez całe życie wyzwalalam się z kompleksów. Gdy miałam 6 lat to nie wstawalam z łóżka tylko się z niego wyczołgiwałam, żeby mnie nikt nie zobaczył. To była makabryczna, chorobliwa niewiara w siebie, we własne możliwości. Po wielu latach uważam tę walkę za niesłychanie pouczającą i rozwijającą mnie wewnętrznym. Okrzeplam, a ten recital, w którym jestem sam na sam z publicznością, to jest hold dla samej siebie i triumfalne: „jednak mogę”.

Rozmawiała:  
HENRYKA WACH-MALICKA